

Historia

13.08.2020 VIII

Dzień dobry, kopę lat...

Ćwierć wieku temu Piotr Markiewicz wywalczył dwa złote medale w kajakarskich MŚ. W Duisburgu triumfował w K-1 200 i 500 m. To jeden – jak mówią w środowisku – z najstojniejszych augustowskich żubrów. Silnych i niezawodnych nawet w konfrontacji z najmniej spodziewanymi przeszkodami.



Jo. Wąpoda

PIOTR MARKIEWICZ:

MISTRZOSTWO W WIELKIM MŁYNIU

rozm. Bartosz GĘBICZ

Od dubletu w Niemczech mija właśnie 25 lat. O jeden tytuł musiał pan wtedy walczyć w niesamowitych okolicznościach – w drugim powtarzanym wyścigu. Wraca pan jeszcze do tamtych chwil?

PIOTR MARKIEWICZ: Obecnie zajmuję się już zupełnie czym innym, sportowy etap zamknąłem dawno temu, ale oczywiście ten sezon był jednym z najważniejszych w moim życiu. Wtedy warto przypomnieć, zwyciężyłem też w klasyfikacji generalnej Pucharu Świata. Osiągnąłem wszystkie cele, które sobie zadedykowałem. 1995 rok obok igrzysk w Atlancie, gdzie wywalczyłem brąz, to z pewnością najpiękniejszy moment kariery.

Jechał pan na mistrzostwa świata pewny swego, z poczuciem, że nadchodzi taka „inwazja mocy”?

Nie. Reprezentacja miała wówczas nieco inne cele. Chcieliśmy uzyskać sto procent kwalifikacji olimpijskich, żeby później mieć już spokojną głowę. Tymczasem wszyscy popłynęli wtedy fantastycznie. W sumie przywieźliśmy z tej imprezy siedem medali. To był naprawdę superwynik.

W finale z powodu błędu sędziów musiał się pan ścigać dwa razy. Proszę przypomnieć, jak do tego doszło?

No cóż, zawiąził człowiek. To były zupełnie inne czasy niż dziś. Bez Facebooka, internetu, telefonów komórkowych, tej całej elektroniki, która wszystko liczy i sprawdza. Arbitr pomylił zawodników, zobaczył trójkę zamiast ósemki albo na odwrót, i zakwalifikował do rywalizacji o medale nie tego człowieka co trzeba. Wtedy sprint był rozgrywany na imnych zasadach niż dziś. Organizatorzy wysyłały konkurencję meknie i kobiecie chcieli ścigać w ciągu godziny czy półtorę. Zrobił się młyn – plynęło się na okrągło, zmieniano się tylko numery, właściwie w ogóle nie trzeba było wychodzić z kajaka. Konczył jeden bieg z awansem, łapał oddech i znów plynął na start. No i w pewnym momencie to wszystko

się „wywróciło”. Portugalczyk niesprawiedliwie stracił zawodnika, złożył protest, zmieniono obsadę finisu i trzeba było startować po raz drugi.

Co pan wtedy czuł? Złość, wściekłość, rozczarowanie czy

może niedowierzanie, że to się dzieje naprawdę? Złoto już w kieszeni, a tymczasem bez żadnej pana winy zabrano je i kazano się o nie starać po raz drugi. Wielu sportowców wpadłoby w furję.

Ja zachowałem spokój. Nie pamiętam, bym się wtedy specjalnie denerwował. Niczego nie analizowałem i wstąpiło po raz drugi także poszło płynnie. Choć pewnie gdyby coś skłódziło się nie tak, to my później skłódziłabym protest. Na szczęście potwierdziłem, że byłem najmocniejszy i ten młyński skandal zakończył się mimo wszystko szczęśliwie.

Došlo do niego w Niemczech, gdzie zazwyczaj panuje porządek.

Tak, te zawody pod paroma względami były wyjątkowe. Nie tylko z powodu tej powtórki. Gospodarze podchodzili do wszystkiego niesamowicie poważnie. Pamiętam ten cały ich garnitur kajaków, którego strażę niczym skarbu. Zadnego zbliżania się, robienia zdjęć, podpatrywania szczegółów... Pilnowali przewagi technologicznej jak owca w głowie. Mimo że wchodziły wtedy włókna węglowe, to te zabiegi stawały się nieco komiczne i dziwne w stosunku do tego, co to wszystko było warte. Ja pływałem wtedy na Plastikcie, ale sprzęt rywali wyglądał wtedy różnie. Duńczycy ścigali się chyba jeszcze na drewnianym...

A pan na swoim „złoty”. Czy ten kajak stoi teraz w domu na honorowym miejscu?

Nie. Nigdy nie zbudowałem żadnego ołtarzyka, przed którym bym się „modlił” i w którym zebrałbym pamiątki z czasów zawodniczych. Nie przywiązywałem się do rzeczy. Kajak sam nie pomylił, wiódł nie stanie na podium. Najważniejszy jest człowiek i jego przygotowanie. Zawsze się tego trzymałem. Medale też nie wiszą u mnie w centralnym punkcie na ścianie. Są schowane w pudełku i czasami wyciągam je, gdy potrzebuję któregoś na przykład podczas spotkań z młodzieżą. Stanowią taki drobny atrybut dodający wiarygodności i utwierdzający wspomnienia. Tyle.

Na pewno ma pan o czym opowiadać, bo przeżył pan wiele przygód, a kajakarstwo od końca PRL i przełomu lat 80

i 90. do dziś totalnie się zmieniło.

Tak jak cały nasz kraj. Jeśli ktoś pamięta tamte czasy i może porównać je z tym, co mamy za oknem, to tę samą miarę niech przyłoży i w kajakach. W COS w Wątku 25 lat temu nie było żadnej infrastruktury, basenu, a nawet hotelu. Ja swoją przygodę ze sportem zaczynałem w Augustowie, gdzie warunki też były spartańskie.

Pamiętam. W latach 80. przyjeżdżałem tu z rodzicami pociągami czy PKS-em, potem przesiadałem się do Gib i jechałem nad jezioro Pomorzanie. Miasto, hmm, to nie był kurort jak teraz, a raczej miejsce na biwak czy kemping...

Tak, dobrze pamiętam nasz stary hangar. Stanowił jednocześnie szatnię i siłownię, czasami przebywało w nim jednocześnie ze 20 osób. Bez toalety, prysznicza czy normalnego ogrzewania. Zimą docieplano go specjalnymi żarówkami, które normalnie służą w hodowlach kurczaków.

Zużycie się jak w kurniku, musieliście być bardzo twardzi.

Czas, jak wspominałem, były zupełnie inne. Żeby w lutym wyjść na wodę, musieliśmy odrąbać sporo lodu. Nikt jednak się nie rozczulał, te opowieści tylko z dzisiejszej perspektywy mogą brzmieć czy wyglądać trochę dziwnie. Wtedy w klubie tak tego nie odbieraliśmy. Życie po prostu było trochę bardziej szare niż dziś.

Musieliście się hartować, momentami zużycie się pewnie jak Rocky. Z Augustowa pochodzą jednak wielu wspaniałych kajakarzy, oprócz pana między innymi Adam Wysocki i Marek Twardowski. Dlaczego akurat to miasto stało się taką potęgą?

Na pewno trochę pomagały warunki geograficzne, jezioro i rzeka, ale najwięcej zawdzięczamy trenerowi Andrzejowi Siemieniowi. To on miał pomysł, jak to wszystko ułożyć i rozwi-



25 LAT minęło

PS z 21.08.1995 25 lat temu

Brawo, panowie i panie!! Czupki z głów przed Piotrem MARKIEWICZEM, ukłony dla pozostałych medalistów 27. Mistrzostw Świata. Siedem brązów, dwa złote, jeden srebrny i cztery brązowe pozwala na stwierdzenie, że ta wyspyłka jest w Polsce najbardziej „medalotopną” za wszystkie lata. W dodatku jeszcze Piotr Markiewicz i Elżbieta Urbaniak wywalczyli Puchary Świata wśród mężczyzn i kobiet. Wszystko to daje niezwykle radosny obraz – nie wahał się użyć wielkich słów – potęgi polskiego kajakarstwa.



Piotr Markiewicz obok MŚ w Duisburgu najcenniejszą wspomina IO w Atlancie. W 1990 roku zdobył w USA brąz w K-1 na 500 m. Był to jego jedyny w karierze występ na igrzyskach.

(fot. Tomasz Witek/PLP)

nać. Miał pomysł na ludzi, nie na jedną osobę...

Trener Siemion to jeden z najbardziej utytułowanych szkoleniowców na Podlasiu. Tak, spod jego ręki wyszło wielu znakomych kajakarzy. Wiadomo, że każdy marzył o reprezentacji. Najpierw był ciężki trening w klubie, ale później, gdy wskoczyło się na najwyższy poziom, komfort jeśli chodzi o przygotowania robił się zdecydowanie wyższy. Kadra również wtedy jeździła na zgrupowania do Portugalii. Patrzyliśmy do przodu i to mobilizowało.

Wszystko, co najcenniejsze, zdarzyło się u Piotra Markiewicza bardzo szybko. W wieku 23 lat miał pan już wiele medali MŚ, podium IO z Atlanty i mnóstwo innych sukcesów. Dlaczego tak wcześnie, grubo przed trzydziestką, rozstał się pan jednak z kajakarstwem?

No cóż, w pewnym momencie nastąpiło zmęczenie materiału. Nie fizyczne, bardziej mentalne. Nie zakwalifikowałem się do reprezentacji na igrzyska w Sydney, byłem wówczas piątym zawodnikiem w polskiej kadrze, i stwierdziłem, że taki poziom dalej mnie nie interesuje.

Nie żałował pan później tej decyzji?

Przez chwilę może tak, jakieś małe wyrzuty sumienia się pewnie pojawiły, ale chciałem zająć się już jednak czymś innym. Skończyłem studia na Politechnice Białostockiej, pojawiły się kolejne wyzwania. Dziś pracuję w dziale zakupów British American Tobacco. I ta praca też daje mi mnóstwo satysfakcji.

Wsiada pan jeszcze do kajaka?

Wyczynnowo już nie, w życiu się już wystarczająco naścigałem. Kilka razy

w roku na dzień czy dwa wyrwę się gdzieś turystycznie.

Na Rospudę? Piękna i tuż obok.

Moją ulubioną rzeką na spływ jest Czarna Hańcza. Też niedaleko, też można się wybrać ze znajomymi i rodziną. Sporo czasu zajmują mi jednak inne sporty. Na przykład rower czy golf.

Golf? Nie słyszałem, by kajakarze spoglądali kiedykolwiek w tym kierunku...

Można się zdziwić, ile fizycznie kosztują wizyty na polu i ile dają satysfakcji. Jak się chwyci za kij i zrobi rundkę w pięć godzin, jest naprawdę super. Wymach, wymach, wymach...

Czuje się stawy? Wiosłowanie nie zostawiło śladów, które przeszkadzają przy uderzeniach? Słyszałem i widziałem, że czasami różnie z tym bywa.

Może dlatego, że zakończyłem przygodę z wiosłowaniem dość szybko, nigdy nie miałem problemów ze zdrowiem. Nie było kontuzji, przerw, żadnych ograniczeń. Organizm nie został maksymalnie wyeksploatowany. Stawy łokciowe oczywiście czasami się podczas golfa poczują, ale za chwilę wszystko jest ok.

W okolicach Augustowa są pola?

Korzystamy z gościnności jednego z przedsiębiorców, który zaprosił do korzystania z jego prywatnego gospodarstwa. Dla Augustowskiego Klubu Golfa to wielka szansa na rozwój i za to jesteśmy wdzięczni. Najbliższe profesjonalne pola są na Litwie w Druskiennikach, a także w okolicach Warszawy i Olsztyna.

Jaki ma pan handicap?

Nie on jest dla mnie najważniejszy, nie ma się czym chwalić...

Ale proszę zdradzić.

Poniżej trzydziestu. Golf wciągnął mnie niedawno, staram się poćwiczyć trzy czy cztery razy w tygodniu. Relaksuje, pozwala się odprężyć, z trochę innego punktu spojrzeć na pewne sprawy. To duża, duża przyjemność.

Był pan kajakarzem-indywidualistą, teraz też nie zmienia pan nastawienia.

Nie sądzę, by można mnie uznać za singlistę ze względu na charakter. Jeśli chodzi o wodę, to taki schemat układał się latami. Program MŚ był zwykle taki, że pływało się w K-1, a do tego ewentualnie K-4. Zdecydowaliśmy się na taki wariant i go później wraz ze sztabem szlifowaliśmy. Wybór wydawał się optymalny, z dwójką byłby problem. Golf i rower, podobnie jak turystyka kajakarska, to zajęcia, gdzie można rywalizować, zmęczyć się, ale także pożyć w harmonii z naturą. Dlatego bardzo mi pasują. Sport zawsze wolałem uprawiać niż oglądać.

Czyli Liga Mistrzów – Barcelona, Bayern, Liverpool – dla pana nie istnieją?

Nie poświęcam swojego czasu na mecze w telewizji. Gdy pojawił się koronawirus i nagle zabrakło wydarzeń, w ogóle mnie to nie dotknęło. Za niczym nie tęskniłem, zawsze oglądałem właściwie tylko igrzyska. Nie jestem zapalonym kibicem. Ważniejszy jest dla mnie kontakt z przyrodą.

Zdobył pan złoty dublet w Duisburgu, to na koniec jeszcze pytanie o medal z tego kruszcu. Kiedy nasi kajakarze zdobędą go na igrzyskach? Bo 20 srebrnych i brązowych – pan też dodał swoją cegiełkę – już wywalczyli, ale na najwyższym

podium nie stali jeszcze nigdy.

Czego do tej pory brakowało?

Czego brakowało... Szczęścia, utamówków sekund, kilku mocniejszych podciągnięć wiosłami. Każdy może na to spojrzeć inaczej. Na pewno teraz nie jest łatwiej niż pod koniec XX wieku. Konkurencja zrobiła się bardziej globalna. Wtedy dominowała Europa, tu czy tam trafili się tylko mocni Australijczycy czy Nowozelandczycy. Teraz sukcesy zawodników z takich krajów jak Chiny czy Brazylia nie są już egzotyką. Dla dyscypliny jako całości to dobra wiadomość. Wyrabia sobie silniejszą pozycję.

A w pana czasach, którzy rywale byli najgroźniejsi?

W latach 90. mieliśmy dużą zmienność. Pamiętam kiedyś półfinał, w którym obok mnie płynęło osiemu mistrzów świata. Wszyscy, którzy pojawili się ze mną na torze! Zaden z nas nie wygrał w seryjnie, ale wszystkich w szczytowym momencie było stać na wielkie wyniki. Włoch Antonio Rossi, który zwyciężył w igrzyskach w Atlancie, rok wcześniej w Duisburgu zajął jedynie dziewiąte miejsce. Wymieniłbym się na czołowych poręczach i to też motywowało nas na co dzień do pracy. Ta nieprzewidywalność wielu z nas naprawdę dawata kopa!

PIOTR MARKIEWICZ

Urodzony 3 września 1973 roku w Sejnach. Przez całą karierę zawodnik Sparty Augustów, w której starty rozpoczął w 1986 roku. Największe sukcesy: igrzyska – brąz w Atlancie w K-1 500 m (1996), mistrzostwa świata – złoto w K-1 200 i 500 m w Duisburgu (1995), srebro w K-4 1000 m w Kopenhadze (1993) i Meksyku (1994) oraz K-4 200 m w Mediolanie (1999), a także brąz w K-4 1000 m w Duisburgu (1995).